Tygodnik

2 Październ: — 40. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!

Krasicki.

WYJĄTKI z MARJUSZA

Trajedji Pana ARNAULD.

AKT II. Scena I.

(Teatr wystawia z jednej strony las w którym stoi chata, a z drugiej są bagna Minturnu.)

Marjusz *(sam).*

Świat jednego człowieka zgubę zaprzysięga,
Z Rzymem się łączy wszystkich żywiołów potęga,
Morze groźne od swego odrzuca mnie łona,
Drży pod nogi mojemi ziemia zatrwożona.

Nadaremnie noc ciemna więcej litościwa,
Me kroki, przyjaznemi cieniami okrywa.
Nie przyświeca mi słońce, lecz grom połyskuje,
I ucieczkę Marjusza światu okazuje.
Los zadziwiającemi chce nagrodzić klęski,
Szczęście, które wieńczyło mój oręż zwycięzki.
Potomność czytająca życia mego dzieje,
Zdumieje się nad szczęściem, nad nędzą zdumieje.
Wszystko milczy, strwożone błyski okropnemi,
Ja sam zdaję się błądzić na zwaliskach ziemi.
Tu stanę, tutaj będę losu mego czekać,
Nigdy nie zwykł Mariusz przed śmiercią uciekać.
Mamże ja błagać Bogów, by zgon znamienity,
Nowemi imie moje ozdobił zaszczyty?
Czterdziestoletniej chwały nic zatrzeć nie zdoła,
Ni laurów nieśmiertelnych z mego zerwać czoła.
Gdy padnę w tém ustroniu mych wrogów ofiarą,
Niewdzięcznego to Rzymu wieczną będzie karą;
Gdy na klęski największe dziś jest wystawionym,
Skoro życia dokonam, dość będę pomszczonym.
Teutonowie, Cymbrowie, zbierzcie wasze siły,
Wam się dziś śmiercią moją Włochy otworzyły!..
Lecz czyliż Sylla w Rzymie panować nie będzie,
I spokojnie walk tylu celu nie posiędzie?
Rozpacz moja do tronu uściele mu drogę,
Dumnym jego zamysłom jaż to służyć mogę,
Takiż to będzie skutek mojej nienawiści,
Że mu największe jego życzenia uiści?

Niech się na mnie największe nieszczęścia zgromadzą,
Z nikim ja się najwyższą nie podzielę władzą.
Śmierć kończy nasze nędze. Gdy się żyć odważę,
Że jestem Mariuszem Rzymowi okażę.
Żyjmy, póki tak chlubne świata panowanie,
Moim i syna mego działem niezostanie.
Żyjmy, aż podły Senat od mego skinienia,
Drżąc, czekać będzie śmierci albo przebaczenia.
Żyjmy, dopóki walki ostatniej nie stoczę,
I w ostatniém zwycięztwie krwią Sylli się zbroczę.
Żyjmy, tego chcą nieba. Postrzegam w tej stronie
Chatę, w której przed burzą na chwilę się schronię.
Zwykle u nieszczęśliwych litość się znajduje,
Kto sam nędzy doświadcza, innych nędzę czuje.
Niechcą Bogi, bym śmiercią nikczemniejszą ginął,
Gdym tyle niebezpieczeństw ich wsparciem ominął.
Bogowie mi aż dotąd torowali drogę,
Jeszcze wielkiej przyszłości spodziewać się mogę,
Nieprzełomną odwagą pała serce moje,
I zaciętość przeznaczeń stałością rozbroję.

Scena II.

Marjusz, Amiklas stary Weteran.

Amiklas *wychodząc z chaty do której Marjusz się zbliża.*

Któż okrutny przeszkadza spoczynkowi memu,
I ostatnie wydziera, dobro nieszczęsnemu?

MARJUSZ.

Jeszcze nieszczęśliwszego przed sobą oglądasz.

AMIKLAS.

Jeszcze nieszczęśliwszego? Czegóż po mnie żądasz?
Pośród okropnej burzy, pośród nocy cienia,
Czegóż przychodzisz szukać w tych lasach?

MARJUSZ.

Schronienia.

AMIKLAS.

Z tobą mieszkaniem mojem chętnie się podzielę.
Powiedz! Może ścigają cię nieprzyjaciele.

MARJUSZ.

Nie pytaj się. Przyszedłem o schronienie prosić,
Wiesz żem jest nieszczęśliwym, tobie na tym dosyć.

AMIKLAS (*na [illegible]onie*).

Ten głos, ta duma, wzmaga moje podejrzenia,
I zwycięzcę Teutonów wszystko mi wymienia.
Na próżno się ukrywa, tak wyniosła dusza
Nawet pomimowolnie zdradza Mariusza.

MARJUSZ.

Jakąż niespokojnością widzę cię dotkniętym?

AMIKLAS.

Od żołnierzy Minturnu ten las jest zajętym.

MARJUSZ.

Dobrze. Czy z tej przyczyny jako czujesz trwogę?

AMIKLAS.

Przed obliczem Marjusza czyż się lękać mogę.

MARJUSZ.

Ty więc znasz Mariusza.

AMIKLAS.

Komuż nie jest znanym?

MARJUSZ.

Uderz więc! Jakoż siło jesteś zatrzymanym?
Niejeden wielko zbrodnio nieśmiertelność zyska,
Kryjoc się, byłbym mego niegodnym nazwiska.
Po tylo-krotnych stratach to mi pozostało,
Niem dzisiaj jak największo zaszczycam się chwało.
Wydzierajoc mi życie tako chlubne sławo,
Zaspokój tchnocych zemsto, przejętych obawo.
W zwycięzcach szczęściem mojem obudziłem zawiść,
Możeż mi zwyciężonych darować nienawiść?
Mamże się nadziejami łudzić daremnemi,
Że mi jeszcze schronienie zostanie na ziemi?
Dostał się w ręce twoje Marjusz rozbrojony,
Jednym ciosem wróć pokój ziemi zatrwożonej.
Przelej krew nienawistnej Rzymowi ofiary,
Będziesz za to drogiemi nagrodzony dary.
Wie Rzym co może doznać od sławnych wygnańców,
Pamięta jak Mariusz z Korioli szańców,

Bieżał z rotami Wolsków na jego podbicie.
Znany jestem Rzymowi. Gdy ocalę życie,
Niech zadrży, i odemnie strasznej zemsty czeka.
Uderz więc!

A M I K L A S.

Żądasz po mnie bym zabił człowieka
Który był Włoch mścicielem, i Rzymu obroną!
Jaż to własnego wodza miałbym przebić łono?
Wodza, co mi lat tyle do chwały przywodził?
Tyś mnie w boju od śmierci dwakroć oswobodził,
A jażbym tak sromotną niewdzięczność okazał,
I w nagrodę twych darów, krwią się twoją zmazał?
Jaż to zchańbić się miałem tak sromotnym czynem,
Ach czymżeś mnie być sądził?

M A R J U S Z.

Żeś jest Rzymianinem.

A M I K L A S.

Nie! to imie największym jest dla mnie zakałem,
Ustami się go zrzekłem, sercem być przestałem.
Niezapomnę wdzięczności za pamiętne dary.
Jeżli świat ciebie zdradza, ja dochowam wiary,
Nie uwiodą mnie Sylli i największe łaski,
Próżno mnie zwodniczemi chce ułudzić blaski.
Ja przekładam żyć w nędzy jako człowiek prawy,
Niż podłe zyskać stopnie z stratą mojej sławy.
Zbrodnią być nieprzestanie zbrodnia uprawniona,

Moja gorliwość wszystkie zawady pokona.
Ah! jeśli nieszczęściami nie jesteś zmienionym,
Pewnie się lękasz śmierci pókiś niepomszczonym.
W utajeniu ostatnie pokładaj nadzieje,
Tam się zbiorą twe siły, i zemsta dojrzeje,
Niech się nieprzyjaciele łudzą śmiercią twoją,
Niechaj obawę, płonną wieścią zaspokoją,
Przerwij tę zwodną ciszę strasznem przebudzeniem,
Wszystkiego jeszcze samem dokażesz imieniem,
Samo imię rycerza liczne wojska zbierze,
Zewsząd do ciebie tłumem przybędą żołnierze.
Chcąc wynagrodzić swoję niewdzięczność i błędy,
Zwrócą na twoich wrogów wściekłości zapędy,
Wszystko tobie poświęcą; i pod twoją wodzą
Dawne zbrodnie wielkiemi cnotami nagrodzą.

MARJUSZ.

Oznacza przyjacielu ta szlachetna stałość,
Wysłużonego męża nieprzełomną śmiałość.
Zgadzamy się, i toś mi powtórzył, co chwała
W tej chwili sercu memu czynić rozkazała.
Tylko nadzieja w ludziach wraz z śmiercią ustanie,
Jeszcze się mogą w Rzymie znajdować Rzymianie.
Lecz powiedz, czyliś podpadł smutnej losu zmianie,
Czyli cię kto w te miejsca skazał na wygnanie?

AMIKLAS

Ty sam.

MARJUSZ.

Nie szukasz zemsty. Mogęż temu wierzyć?

AMIKLAS.

Ty karę sprawiedliwą chciałeś mi wymierzyć!

MARJUSZ.

O Nieba! już Senatu zguba niedaleka,
Gdy wszyscy, serce tego mieć będą człowieka.

(wchodzi do chaty)

AMIKLAS.

Cenię stałość w najcięższej niezłomną potrzebie,
Ja krwi mojej ostatek wysączę dla ciebie.
Przysięgam ci. Zawierzaj przysięgom prawdziwym
Jam tylko jest żołnierzem, a ty nieszczęśliwym.

MIŁOŚĆ i NIEUFNOŚĆ.

Rys do Historji wybicia się na wolność wyspy S. Domingo.

Na początku wieku teraźniejszego, gdy Czarni Białych mordowali, żył niedaleko Port-au-Prince

w kolonji *Wilhelma Villeneuve* stary murzyn imieniem *Kongo Hoango.* Ten straszny człowiek na pobrzeżach Afryki zrodzony, zdawał się w młodości dość słodkiego i powolnego umysłu. W przeprawie do Kuba zachowawszy życie swojemu panu, został przez niego obsypany dobrodziejstwami. Wdzięczny *Villeneuve* za powrotem do St. Domingo nietylko że go wolnością i cząstką gruntu udarował, ale nadto mimo powszechnego zwyczaju zrobił go dozorcą swej posiadłości, ponieważ zaś Czarny niechciał się żenić powtórnie, dał mu na gospodynię daleką jego krewną starą Mulatkę *Babekan.* Nadto, gdy *Kongo Hoango* doszedł sześćdziesiątego roku, wyznaczył mu pewny dochód i w Testamencie zapisał znaczny legat.

Tak dobrotliwe postępowanie niezachowało *Wilhelma* od wściekłości dzikiego murzyna. W powszechnym pożarze buntu, który nierostropne kroki rządu Francuzkiego wznieciły, *Kongo* jeden z najpierwszych porwał się do broni, a pomny tylko na okrucieństwo co go ojczyznie wyrwało, na nieszczęśliwego pana zwrócił mordercze żelazo, podpalił dom do którego się uciekła żona jego z trojgiem dzieci i resztą Białych domowników, a zniszczywszy całą posiadłość, poszedł z murzynami których zebrał i uzbroił wspierać współ braci, w walce z białymi. Już to czatował w nocy na podróżnych którzy z głębi kraju na pobrzeża uchodzili, już też wśród

dnia napadał na osadników zamkniętych w miejscach obronniejszych.

Kto tylko wpadł w ręce chciwego krwi murzyna bez litości był mordowanym, nadto okrutny *Kongo* który wśród rzezi odmłodniał, przymusił starą *Babekan* i córkę jej z białego urodzoną, piętnastoletnią *Toni*, ażeby go w srogości wspierały, ponieważ zaś dom *Konga* samotnie nad gościńcem leżał, i w czasie nieprzytomności mężczyzn na rozboje wychodzących, często do niego Europejczykowie wstępować mogli, nakazał przeto obu kobietom, ażeby tych białych psów wszelkiemi sposobami aż do powrotu swego wstrzymywały. *Babekan* pomna na okrutną karę w młodości otrzymaną, od któréj zawrotu głowy dostała, chętnie była posłuszną woli murzyna, i dla zwodzenia przechodniów zręcznie używała córki wojej *Toni*. Ta młoda dziewczyna kolorem twarzy niewzbudzająca podejrzenia, stroiła się w najpiękniejsze suknie, i póty różnemi sztukami musiała ułudzać cudzoziemców, póki *Kongo* niewrócił, i nie zamordował nieszczęśliwych.

Wiadomo wszystkim że w roku 1803. gdy Jenerał *Dessalines* w 30,000. murzynów podstąpił pod Port-au-Prince, wszyscy Biali w St. Domingo zamknęli się w tej twierdzy, bo ostatnia to już była obrona Francuzów, a gdyby się dostała w ręce czarnych, niktby śmierci niebył uszedł. Wtym czasie bla dostarczenia Dessalinowi kul i prochu, wyru-

szył stary *Kongo* z murzynami swojemi. Noc była ciemna i słotna gdy w tylne drzwiczki jego domu zapukano nieśmiało. Stara Babekan wstała z łóżka, otworzyła okno i zapytała się: „Kto tam?" „W imie Boga — rzekł nieznajomy cichym głosem — odpowiedz mi pierwej na jedno zapytanie: Czy jesteś murzynką?" Na to Babekan: „Ty już bez wątpienia jesteś białym, kiedy się wolisz powierzyć tak niepogodnej nocy, niżeli murzynom. Ale porzuć próżną obawę. Jestem mulatką, i sama z córką mieszkam w tym domu."

To rzekłszy, zamknęła okno, udając że chce zejść drzwi otworzyć, ale w rzeczy samej poszła do córki. „Ubieraj się *Toni*! Biały stoi przy drzwiach i chce wejść do nas." „Biały? — zawołała *Toni* — ale czyli jest sam, i czy niemamy się czego obawiać gdy go wpuściemy." „Nie, nie, — przerwała stara rozdmuchując ogień, — niema broni, i cały drży na samo wspomnienie murzynów." Poczem ubierała córkę, związała jej włosy na głowie podług tamtejszego zwyczaju, przykryła je kapeluszem, dała wielką latarnią do ręki, i posłała na dół z kluczami.

Tym czasem szczekanie psów obudziło małego *Nanki*, który z bratem swoim *Suppi* w pobocznem domostwie sypiał. Te dzieci były synami starego *Hoango*. *Nanki* przy świetle księżyca spostrzegłszy człowieka w dziedzińcu, pobiegł zaraz zamknąć bra-

mę jak mu był ojciec zalecił. Biały przychodzień niemogąc pojąć co znaczą te przygotowania, zapytał chłopca, w którym ze zgrozą poznał dziecko murzyńskie, do kogo należy ta posiadłość? „Po Panu *Villeneuve* dostała się murzynowi *Hoango*." odpowiedział chłopiec. Na te słowa biały przychodzień chciał mu klucz wydrzeć i nazad uciekać, gdy *Toni* z latarnią w ręku zeszła na dół. „Prędzej prędzej! — rzekła biorąc go za rękę, — pójdź za mną."

To mówiąc zwróciła latarnią w ten sposób iż cała jasność na twarz jej padała. „Kto jesteś — zawołał nieznajomy opierając się lecz z upodobaniem spoglądając na miłą jej twarzyczkę; — kto mięszka w tym domu?" „Nikt przysięgam ci na światło słońca, nikt, tylko ja i moja matka." — rzekła dziewczyna i pociągnęła go ku sobie — „Co — zawołał nieznajomy cofając się kilka kroków — a murzyn *Hoango* gdzie mięszka?" „Kiedy mówię że nie — odpowiedziała dziewczyna tupnąwszy nogą z niecierpliwości — w prawdzie do tego potworu należy ten dom, ale dziś go tu niemasz, i przynajmniej o dziesięć mil będzie od nas oddalony." Zbliżyła się, kazała chłopcu niewspominać nikomu o całem zdarzeniu, porwała nieznajomego za obie ręce, i zaprowadziła po schodach do pokoju matki.

„Ale proszę — rzekła stara która z okna słuchała całej rozmowy i poznała że nieznajomy jest oficerem — co znaczy ta broń którą nosisz przy bo-

ku? Zachowałyśmy cię z niebezpieczeństwem życia naszego. Czyli nie myślisz za to dobrodziejstwo zwyczajem twoich współbraci zdradą się wypłacić." „Broń Boże! — odpowiedział oficer, przyciskając jej rękę do serca. Rzucił w koło okiem nieufnym, odpasał pałasz, i postawił przy ścianie." Widzicie przed sobą — dodał — człowieka najnieszczęśliwszego, ale nie zbrodniarza." — Któż przecie jesteś? — rzekła stara wciskając na nos okulary i przysuwając się do niego. „Jestem oficerem w służbie francuskiej, ale nie Francuzem. Ojczyzna moja Szwajcarja, imie *Gustaw Ried*. Teraz powracam z *Fort Dauphin* gdzie jak wam wiadomo, wszystkich białych zamordowano. Chciałbym się dostać do *Port-au-Prince* nim ten ostatni nasz przytułek Jenerał *Dessalines* oblegnie." „Z *Fort-Dauphin* — zawołała stara — Jakże mogłeś w tak długiej drodze nie wpaść w ręce buntowników?" „Bóg mnie ustrzegł — odpowiedział oficer — Ale poczciwa kobieto nie jestem ja sam jeden. Towarzyszy mi jeszcze, szanowny starzec z żoną, i pięciorgiem dzieci. Rachując i służących jest nas razem dwanaście osób; z pomocą dwóch nędznych mułów wśród niewypowiedzianych przykrości, przemykamy się nocną porą, gdyż we dnie starannie kryć się potrzeba." „Mój Boże! — zawołała stara kiwając głową — Ale gdzie też znajduje się teraz twoje towarzystwo?" „Wam — rzekł oficer po krótkim namyśle — powierzyć się mogę. Cała

familja kryje się ztąd o mile drogi w gęstwinie pod temi górami. Głód i pragnienie zniewoliło nas tam się uciekać. Nadaremnie wysyłaliśmy przeszłej nocy służących, ażeby się wystarali o trochę chleba i wina. Bojaźń napaści wstrzymała ich od wszelkich skutecznych kroków, tak dalece iż dziś sam z niebezpieczeństwem życia mojego wyszedłem, na próbowanie szczęścia. Dzięki Bogu! — dodał ściskając starą *Babekan* za rękę — żem trafił na ludzi miłosiernych, co nie dzielą tej wściekłości jaka ogarnęła wszystkich wyspiarzy. Raczcie za znaczną nagrodę napełnić parę koszów, pierwszemi potrzebami do życia; za pięć dni dostać się możemy do *Port-au-Prince*. Jeżeli nam podacie środki pewnego przebycia tej drogi, uważać was będziemy za nasze wybawicielki." „Tak, tak — rzekła zdradliwa *Babekan* — ile to krwi kosztuje ta wściekłość murzynów. Co ja temu winna, że mój ojciec pochodzi z miasta *St. Jago* na wyspie Kuba, co moja córka, że się rodziła w Europie?" „Jak to — zawołał — czyliż i wy jesteście razem z nami Europejczykami potępione? „Tak niestety! — odpowiedziała stara — Czyliż mniemasz, że ten kawałek majątku który sobie krwawą pracą zebrałam, nie obudza chciwości czarnych zbójców? Gdyby nie tysiączne zabiegi, i te wszystkie sztuki któremi słabi przemocy się opierają, zapewne cień pokrewieństwa znajdujący się na twarzach naszych, nie uwolniłby nas od ich prześladowania."

„Czy być może? — zawołał Gustaw — Któż was prześladuje na tej wyspie?" „Pan tego domu — odpowiedziała stara — Murzyn *Kongo Hoango*. Od śmierci cnotliwego *Villeneuve* dawnego właściciela tej posiadłości, który legł z jego ręki, poddane jesteśmy swawoli tego herszta buntowników. Za kawałek chleba, za szklankę wody którą nieszczęśliwym białym podamy, czeka nas prześladowanie okrutnika, który na to tylko baczy ażeby się nas pozbyć i opanować tę resztę pracy rąk naszych. „Nieszczęśliwe! — zawołał Gustaw — ale gdzież jest teraz wasz tyran?" „W obozie Jenerała Dessalines. Dowiózł mu kul i prochu. Oczekujemy go jeśli na nową wyprawę posłanym nie będzie, za dni dziesięć lub dwanaście; a gdyby się wtenczas dowiedział, czego niech Bóg uchowa, żeśmy białemu dały schronienie, nic by nas nieuwolniło od śmierci." „Nieba przyjazne litości strzedz was będą — rzekł Gustaw — ale gdy już raz wykroczyłyście przeciw zakazom Murzyna, odważcie się na coś więcej, i przyimijcie na parę dni do waszego domu całą moję familję." „Młodzieńcze — zawołała zdumiona Mulatka — czego po nas wymagasz? Czyliż dom nasz nad gościńcem leżący, zdoła ukryć tak wiele ludzi?" „Czemu nie? — odpowiedział Gustaw — jeżeli ja teraz zaraz między góry wrócę, i przed świtem całą familję do was sprowadzę. Dajcie nam jednę tylko izdebkę; a w najgorszym razie, niech drzwi i okna ciągle będą zamknięte."

Namyśliwszy się nieco rzekła *Babekan*: „To być nie może. Twój powrót nie byłby bezpieczny. Przed świtem krążą w około oddziały zbrojnych murzynów, przed których okiem tak wielkie towarzystwo skryćby się nie mogło." „Więc przynajmniej poszlijmy nieszczęśliwym teraz zaraz nieco żywności, a wprowadzenie ich do tego domu odłóżmy do nocy następującej. Zróbcież dla mnie tę jedyną łaskę." „Dla ojca mojej córki — rzekła Mulatka — który był Europejczykiem, uczynię zadość twej prośbie. Napisz list do twego wuja. Chłopiec któregoś widział na dworze, zaniesie go wraz z potrzebniejszą żywnością, i posłuży za przewodnika."

Tym czasem *Toni* wróciła z przygotowaną wieczerzą, i rzekła rzucając okiem na *Gustawa*. „Cóż matko! Czy już tego Pana minęła bojaźń którą był przejęty na dworze? Czy się przekonał, że nie mamy dla niego trucizny, ni puginału, i że murzyn *Hoango* nie jest w domu?" Matka odpowiedziała z westchnieniem: „Moja córko! kto się na gorącem sparzył, ten na zimne dmucha. Ten Pan bardzo nierostropnie byłby sobie postąpił, gdyby wchodził do domu nie wiedząc kto w nim mięszka." *Toni* stanęła przed matką, i opowiedziała iż umyślnie tak zeszła z latarnią po Gustawa, ażeby cała jasność na twarz jej biła. „Ale — dodała — próżną była ta ostrożność. Umysł naszego gościa tak był zajęty murzynami, że gdyby dama z Mar-

sylji lub Paryża drzwi mu otwierała, toby ję był wzioł za rodowitę Afrykankę."

Gustaw przytulił ję do siebie. „Kapelusz duży niepozwolił mi widzieć twej twarzy, ale teraz razem z tobę niebałbym się pić z kielicha zatrutego." Na te słowa, matka, prosiła go siedzieć, *Toni* przysunęła się do niego, i podparłszy ręko, patrzała mu oko w oko. *Gustąw* zapytał jej wiele ma lat? matka zabrała głos i rzekła: „Córka moja ma lat piętnaście, urodziła się w Paryżu, w czasie podróży, którę z Panię *Villeneuve* do Europy odprawiłam." Dodała że wprawdzie murzyn Kolmar za którego później poszła, przysposobił jej córkę za swoje dziecię, lecz że istotnie ojcem *Toni* jest bogaty kupiec z Marsylji imieniem *Bertrand*. *Toni* zapytała się czyli *Gustaw* nie znał kogo we Francji z podobnem nazwiskiem? „Nie, — odpowiedział on — kraj jest wielki, a przed wyjazdem do Ameryki nie długo się w nim bawiłem." „Podług niektórych wiadomości — przerwała stara — Bertrand nie jest już we Francji. Duma jego nie mogła się ograniczyć życiem spokojnem. Z początkiem Rewolucji wdał się w polityczne interesa, i w roku 1795. z poselstwem Francuzkiem pojechał do Stambułu, gdzie się aż dotęd ma znajdować.

Gustaw rzekł z uśmiechem do *Toni* bioręc ję za rękę, że w tym przypadku jest panno bogato.

Zachęcał ją żeby się upomniała o swe prawa, dając nadzieję, że kiedyś przy boku ojca może ją spotkać los daleko świetniejszy. „Niepodobna, — zawołała *Babekan* z przytłumioną wściekłością — *Bertrand* zaparł się mnie w Paryżu, niezapomnę nigdy przysięgi albo raczej krzywo-przysięstwa, które w oczach moich przed sądem złożył, Długa choroba, była skutkiem tej niecnoty, a wkrótce potem 60. biczów które mi P. *Villeneuve* dać kazał; od tego czasu cierpię ciężki zawrót głowy." *Toni* przez tę całą rozmowę pogrążoną była w myślach. Nagle porwała się, i zapytała Gustawa: „Ktoż przecie jesteś mój Panie, zkąd tu przybywasz, i dokąd myślisz się udać?" „Z familją Wuja mojego Pana *Stroemli* — rzekł — wracam z twierdzy *Fort-Dauphin*." Na proźbę *Toni* opowiedział niektóre wypadki w czasie wybuchnienia buntu zdarzone. Jak w północy za danym znakiem rzucili się czarni na białych, jak dowódzca murzynów będący sierżantem w Artyllerji, natychmiast wszystkie okręta Europejskie podpalił, ażeby nieszczęśliwym odjąć i tę ostatnią nadzieję ucieczki, jak familja *Stroemlego* ledwo czas miała z dwoma nędznemi mułami ujść drogą ku *Port-au-Prince*; zakończył wreszcie uwagą, że ta twierdza jest jedynem miejscem, na którem się Europejczykowie utrzymali.

„Ale — przerwała *Toni* — czemże biali ścięgnęli na siebie taką nienawiść?" Zmięszał się *Gustaw*, lecz natychmiast odpowiedział: „Tym powsze-

chnym stosunkiem w jakim zostają panowie ku niewolnikom. Nie myślę wprawdzie ich uniewinniać, lecz i murzyni zbytnią wściekłością psują swoją sprawę. Osobliwie — dodał po krótkiem milczeniu — postępek młodej jednej dziewczyny zgrozą mnie przejmuje. Ta murzynka w czasie powszechnego buntu, zaraźliwą chorobą była złożoną. Przed trzema laty służyła u Białego który źle się z nią obszedł, i nareszcie przedał drugiemu. Nie zapomniała zastarzałej obelgi, a dowiedziawszy się że dawny jej Pan w pobliskim domu jest ukryty, posłała po niego z prośbą, żeby u niej przenocował. Nieszczęśliwy nie wiedząc jaką jest choroba murzynki, usiadł przy jej łóżku dając jej tysiąc oznak wdzięczności. Zdradliwa kobieta udawała, iż nie pamiętała dawnej krzywdy, ale godzinę wytrzymawszy go tak przy sobie, zrywa się, i z wyrazem zimnej wściekłości zawoła: „Z radością umieram gdym się zemściła. Bierz zarazę, która mnie zabija, i zanieś ją wszystkim twoim współziomkom co do ciebie są podobni."

Głośno oświadczyła *Babekan* jaką zgrozą podobna zbrodnia ją przejmuje, *Gustaw* zaś obróciwszy się do *Toni*, zapytał: czyli byłaby zdolną takiego postępku? „Nie!" — rzekła pomięszana dziewczyna, spuszczając oczy ku ziemi. *Gustaw* dodał: „Najdziksza tyranja, jakiej się kiedy ludzie Biali mogli dopuścić, nieusprawiedliwia takiej srogości,

nawet zemsta nieba musi być rozbrojoną, a aniołowie sami tą wściekłością oburzeni, muszą stanąć na stronie białych, choćby ich strona była najniesprawiedliwszą." Przystąpił do okna, groźne chmury okryły Księżyc, zdawało mu się że matka z córką dają sobie znaki tajemne; smutek zajął jego duszę, odwrócił się i prosił żeby mu pokazano gdzie spocząć może.

„Już też pułnoc nadchodzi" — rzekła matka zbliżając się do zegara, wzięła świecę i prosiła Gustawa żeby za nią poszedł. Przez długi korytarz prowadziła go do przeznaczonej izby; *Toni* niosła płaszcz i inne rzeczy które zdjął z siebie, matka pokazała mu wygodne łóżko, a zaleciwszy córce żeby mu wody na nogi przyniosła, oddaliła się z życzeniem dobrej nocy. Gustaw postawił pałasz w kącie, dwa pistolety położył na stole, i gdy mu *Toni* łóżko słała obejrzał się w swoim pokoju. Po wspaniałości i dobrym guście, poznał że dom cały należeć musiał do dawnego posiadacza tej osady; niespokojność napełniła jego serce, zazdrościł swym towarzyszom którzy głodni i przezięibli w lesie kryć się musieli. Tymczasem *Toni* przyniosła wodę gorącą pełną ziół pachnących i podług praw gościnności prosiła białego żeby nie wzgardził jéj usługą. Odwrócił się *Gustaw* i z upodobaniem spojrzał na piękne dziewczę. Czarne włosy spadały na piersi, łagodność uśmiechała się w ustach, sam kolor twarzy był po-

wabny, ale nadewszystko jakieś podobieństwo którego sobie dobrze niemógł wytłómaczyć zajęło całą jego duszę. Wziął ją za rękę a wiedząc że jeden tylko jest sposób dowiedzenia się czyli kobieta czuć umie, zapytał: komu jest zaręczona? „Nikomu — rzekła *Toni* spuszczając oczy ku ziemi — wprawdzie *Konelli* młody murzyn z sąsiedztwa prosił o moję rękę, lecz mu odmówiłam bom była za młoda."

„U nas — rzekł Gustaw — w czternastym roku dziewczyna za mąż iść może. Ale może *Konelli* niema wystarczającego dla ciebie majątku." „Owszem — odpowiedziała — po ostatnim rzeczy obrocie, stał się bardzo bogatym człowiekiem. Przypadła mu cała posiadłość dawnego jego Pana." „Czemuż więc odmówiłaś mu? — zapytał Gustaw, może ci się niepodobał?" *Toni* kiwnęła głową i uśmiechnęła się, a na zapytanie które jej szepnął do ucha czyliby nie wolała białego? skryła zarumienioną twarz na jego piersiach. Gustaw poruszony jej słodyczą, przycisnął ją do serca, z którego wszelkie obawy zniknęły. Niemógł ani pomyśleć ażeby wzruszenie jakie w niej widział, było tylko wyrazem zimnej i złośliwej zdrady, żałował nawet, że choć na chwilę mógł przypuścić takie podejrzenie. Tymczasem nagle zerwała się Toni, i poszła u drzwi słuchać czyli kto nie idzie po korytarzu, a przekonawszy się, iż próżną była jej obawa, z wesołą twarzą przybliżyła się do Gustawa i zapytała: „Czemu się

tak pilnie jej przypatruje? Co go tak w niej uderza? Łzy stanęły w oczach Gustawa; rzekł przytłumiajęc westchnienie: „Zadziwiajęce widzę podobieństwo między tobę a dawnę moję przyjaciołkę.” Toni postrzegłszy że widocznie traci pierwszę wesołość, wzięła go za rękę i z rzewnem uczuciem zapytała: „Jakaż to była ta przyjaciołka?”

„Imie jéj *Marja Kongrew* — odpowiedział Gustaw — rodziła się w Sztrazburgu. W tem mieście gdzie ojciec jéj był jednym z znaczniejszych kupców poznałem ję, w poczętkach Rewolucji, i tak byłem szczęśliwy iż pozyskałem obietnicę jéj ręki. Nie, nieznajdę na świecie lepszej kobiety, a okropna jéj strata nie zatarty zostawiła żal w duszy mojéj.” „Jak to — rzekła *Toni* przyciskajęc do serca — czy już nie żyje?” „Umarła — odpowiedział Gustaw — a przy śmierci dopiero poznałem całę jéj cnotę.”

(Dokończenie w przyszłym Numerze.)